

Wojciech Kaliszewski: Idący po śladach Orfeusza

Józef Wittlin – tak jak Piotr Niewiadomski – tęsknił do życia pełnego, jasnego, zharmonizowanego, osadzonego w niezmiennym pejzażu, nasyconego znajomą mową i śpiewem. Przyszło mu żyć inaczej, ale nigdy w sens życia nie zwątpił. Dla niego Orfeusz, wędrujący przez piekło, wciąż niósł swoim śpiewem nadzieję i ulgę – pisze Wojciech Kaliszewski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Józef Wittlin. Cierpliwy piechur XX wieku”.

Józef Wittlin był pisarzem prawdziwie pokornym wobec świata i wszystkich spraw ludzkich. Nauczył się tej pokory, wędrując przez miasta i kraje nie zawsze z własnej woli, ale często przymuszony jako wygnaniec, emigrant i tułacz. Nauczył się tej pokory, szukając swojego miejsca, próbując odgadnąć sens wyznaczonej mu przez Boga i los drogi. Nauczył się jej, szukając właściwych słów, zdolnych udźwignąć cały ciężar doświadczeń i przeżyć nie tylko swoich, ale całego pokolenia, do którego należał. A była to generacja urodzonych u schyłku XIX stulecia tych, którzy w sposób najbardziej ofiarny i dramatyczny przekroczyli próg wieku, padając na wszystkich polach bitew Wielkiej Wojny. To pokolenie przeszło przez piekło urzeczywistnione transzejami, okopami, zasiekami, szybkostrzelną bronią maszynową i gazami bojowymi. I w tym jakże tragicznym zamęcie nie tylko miliony ludzi straciło życie, ale setki tysięcy straciło dusze, gubiąc nadzieję, wiarę i miłość. Śmierć wdarła się w życie gwałtownie, przechodząc przez wszystkie poziomy i wymiary ludzkiego

istnienia. Trzeba było mieć naprawdę bardzo dużo siły, aby to wewnętrzne zwątpienie w siebie przezwyciężyć. Wittlin długo pokonywał ciemne pole śmierci, przemierzał je przez całe lata, zachowując w oczach straszne obrazy końca cywilizacji:

Widziałem, jak okropnie wyglądają trupy,
Widziałem, jak straszliwie zimne groby są.
Słyszałem, jak przeciągle lamentują matki,
Kiedy ich synów kładą w ciemny grób.
Panie! Ja nie chcę umrzeć!

*Wittlin zawsze szukał oparcia
w słowach, w języku, w poezji.
Język traktował jako źródło
życia*

Tak wołał w
Hymnach, kierując
do Boga strzeliste
apostrofy, wołając o
życie i wołając
przede wszystkim o
przyszłość. Bez niej

bowiem nic – jak słusznie twierdził – nie będzie miało znaczenia. Tylko w przyszłości, w tym, co nastąpi i co się urealni dojdzie do odradzającej człowieka przemiany. Czas teraźniejszy był dla niego czasem przełomu, poszukiwania i składania formy i – co bardzo ważne – czasem nasłuchiwania. Był także próbą pieśni zdolnej uchwycić wszystkie tony gwałtownie i dramatycznie zmieniającego się świata. Ten hymn, nazwany jasno: *Trwoga przed śmiercią*, prowadzi człowieka od upadku do progu nadziei. Wittlin zamknął w nim całe wojenne doświadczenie swojego pokolenia. Z otchłani piekła, z ciemnego Dantejskiego labiryntu wyprowadza nas autor na brzeg słonecznej krainy. Ostatni wers hymnu staje się zapisem nowej – jasnej – perspektywy, paradoksalnie zamieniając się w wers inicjalny: „Otom przed Tobą,

Abraham”. Oto cała suma i synteza wiary: pokora i odrzucenie zwątpienia. Biblijny patriarcha, który zaufał Bogu, przyjął Jego obietnicę i wyruszył w nieznane, staje się w postacią kluczową i nieodzowną dla zrozumienia całej niezwykle głębokiej duchowo twórczości Wittlina. Abraham, podejmujący trud wędrówki ku nowemu horyzontowi, uczynił ten pierwszy i najważniejszy krok w stronę przyszłości. Dał podwaliny nowemu światu. Przyjął słowo. Wkrótce jednak Wittlin doda mu w swojej pisarskiej perspektywie kogoś może bardziej wymownego i zarazem bardziej wplątanego w pułapki ludzkiego losu. Tym kimś będzie Odys – człowiek wojny, zwycięstw, upadków i porażek, mędrzec i ofiara podstępów, ktoś niepowtarzalny i zarazem jeden z wielu. Ale zanim Odys przetnie swoimi krokami drogę Wittlina, ten napisze jeszcze *Hymn pogody ducha*, pieśń w radosnej, harmonijnej, odrodzonej i podniosłej tonacji:

Komu ja śpiewam, komu się kornie ściele do nóg?

– Tobie ja śpiewam: Tyś jest mój Bóg!

Kto mnie nastroił jak srebrna lirę weselem barw?

– Tyś mnie nastroił, o stroicielu anielskich harf.

Wittlin zawsze szukał oparcia w słowach, w języku, w poezji. Język traktował jako źródło życia. Dopóki bowiem świat przemawiał i dopóki ta przemowa miała słuchaczy – dopóty śmierć nie mogła pokonać pieśni i życia. Poprzez słowa pisarz starał się odbudować to, co zostało w nim zniszczone, upokorzone i spalone. Budował, pamiętając nieustannie o harmonii, o głęboko i trwale obecnych w języku prawach, o wyjątkach i znakach rozpoznawczych. Nieprzypadkowo dał wierszowaną pochwałę fonetycznym cechom polszczyzny w *Odzie na cześć mowy i poezji polskiej*:

I wam pochwała, ubogie istoty bez duszy i blasku:
Maleńkie kropki nad ż, skromne haczyki pod ą,
Jedna na świecie was polska mowa obdarza swą łaską
I pieśń brocząca krwią.

Oda to drugi, obok hymnu, gatunek stojący na straży harmonii, spójności i klarowności poetyckiej mowy. Józef Wittlin był realnym uczniem klasyków, był bowiem nie tylko wykształconym na doskonałym Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie filologiem klasycznym, ale miał duszę i naturę klasyka. Miał swoich bardzo bliskich znajomych i przyjaciół w antycznej Grecji i starożytnym Rzymie. Stamtąd przecież w sposób jakby bezpośredni przeprowadził na brzeg naszych czasów Odysa, opowiadając jego historię i pracując nad przekładem Homerowego poematu przez dziesięciolecia, szukając wciąż nowych rozwiązań, znaczeń i współbrzmień. Zygmunt Kubiak nazwał go „wielkim homerydą”. I miał rację. Wittlin zrół się z Homerem, oddał mu swój czas, rozumiejąc go jako poetę przyszłości, wciąż kreślącego i zaznaczającego nowe horyzonty:

Tobie dziś gędzę, Homerze –
wydarty szkolnym wypisom,
Za ciebiem niegdyś w karcerze
Siedział i bluźnił Odysom.
Płynęły łzy.

Tak rozpoczyna Wittlin *Elegię do Homera* napisaną „na ukończenie przekładu »Odysei«”. To ważny wiersz. Są w nim rozproszone ślady autobiografii, są wyznania i jest liryczny fundament, który Wittlin

podłożył pod epicką konstrukcję swojego przekładu *Odysei*.

*Wittlin zrół się z Homerem,
oddał mu swój czas,
rozumiejąc go jako poetę
przyszłości, wciąż kreślącego i
zaznaczającego nowe
horyzonty*

Odys stał się dla
pisarza nie tylko
figurą losu
złożonego,
wielopokoleniowego,
zbiorowego, ale był
kimś
niepowtarzalnym,
bliskim, gościem

mile widzianym w domu. Wittlin dbał o swój przekład, wciąż odnajdywał u Homera szczegóły, które troskliwie prznosił do polszczyzny, dając im owe niepowtarzalne „kropki” i „haczyki”. Wsłuchując się w każdy wers Homerowego poematu, szukał właściwych brzmień, łączących grekę antyczną i polszczyznę. Po raz pierwszy *Odyseja* w Wittlinowym przekładzie ukazała się w roku 1931. Jej nowe, zmienione wydanie wyszło w roku 1957, a przecież wiadomo, że pisarz pracował nad Homerem i słuchał jego tonów nieomal nieprzerwanie aż do swojej śmierci.

Wittlin żył długo, urodzony w 1896 r. zmarł w roku 1978. Był więc świadkiem wielu wielkich przełomów XX wieku. Był przy tym ich świadkiem zdecydowanie aktywnym, komentującym, podsumowującym i przewidującym konsekwencje. I w tej historycznej oraz aktualnej perspektywie odnajdywał zawsze siebie. Pisał i tworzył swój wizerunek, zanurzał się w rzeczywistości najgłębiej jak tylko to było możliwe. We wstępie do tomu szkiców i esejów, które ukazały się pod jakże wymownym tytułem: *Orfeusz w piekle XX wieku*, tak pisał: „A może najważniejszym określeniem tej książki będzie: autoportret? [...]

Nazwawszy tę książkę autoportretem, winniśmy rzec, z jakiej racji prezentujemy publiczności naszą twarz. Przede wszystkim z powodu tła, na którym ta twarz się rysuje. Tłem są tu arkadyjskie rzekomo czasy sprzed pierwszej światówki, potem lata 1914 – 1918 – 1920, następnie dwudziestoletnie *interbellum*, potem druga światówka, uchodźcze wędrówki, no i trwałe, do znudzenia trwałe, a tak patetycznie zwane – wygnanie. Jak na jeden żywot – tło zgoła niezmiernie”. Tak, to prawda – tło szerokie, różnorodne, pełne wydarzeń wielkich i drobnych. Cały makrokosmos i mikrokosmos. Wszystko. Wittlin rysując ten literacki autoportret, stawał wyraźnie w centrum tych różnorodnych światów tła. Był ich stałą gwiazdą, one krążyły wokół niego, tak jak stałym punktem obracającego się i gwałtownie poruszonego świata był bohater największego dzieła Józefa Wittlina – *Sól ziemi* – Piotr Niewiadomski. Ten porwany przez mobilizacyjną maszynę monarchii c.k. austro-węgierskiej analfabeta, pół-Polak, pół-Hucuł przeżył tak prawdziwie, realnie, dotykalnie i nieodwołalnie koniec świata, jak nikt inny. *Sól ziemi* jest bodaj najlepszą i najważniejszą i wciąż – niestety – niedocenianą opowieścią o człowieku i wojnie, o śmierci i życiu. Homerycka, klasyczna rozpiętość narracji obejmuje tutaj jakby cały świat, chociaż często pisarz koncentruje się tylko na jakimś epizodzie, fragmencie i dotyka pojedynczych rzeczy. Ale to wystarczy. Z takich okrucichów i przywołań budowana jest całość i tak rodzi się pełnia. Tak powstawały przecież Homerowe eposy, zagarniając słowami rzeczy wzniosłe i błahe, wielkie i małe, ale zawsze i niezmiennie ważne dla ludzkiego istnienia i trwania świata.

Wittlin pisał *Sól ziemi* dziesięć lat. Wydał ją w 1935 roku w kształcie nieukończonym. Rękopis z dalszymi rozdziałami zaginął w czasie wojennej drogi pisarza. Ale ta historia – paradoksalnie – wzmacnia tylko siłę przekazu książki. Jej styl, kompozycja, powiązanie z rzeczywistością stanowią związek wartości o najwyższej randze

*Wittlin rysując ten literacki
autoportret, stawał wyraźnie
w centrum tych różnorodnych
światów tła*

artystycznej. Jerzy
Stempowski pisząc o
nowym
emigracyjnym
wydaniu *Soli ziemi* w
1954 roku, zauważył:
„Wśród
nieprzymuszonych

obyczajów naszej epoki *Sól ziemi* jest powieścią o rzadkiej dystynkcji i słusznym tytułem zwróciła na siebie uwagę znawców w różnych krajach. [...] Nie ulega wątpliwości, że *Sól ziemi* jest jedną z najlepszych powieści polskich dwudziestolecia niepodległości”.

Józef Wittlin – tak jak Piotr Niewiadomski – tęsknił do życia pełnego, jasnego, zharmonizowanego, osadzonego w niezmiennym pejzażu, nasyconego znajomą mową i śpiewem. Przyszło mu żyć inaczej, ale nigdy w sens życia nie zwątpił. Widział zagrożenia, jakie czyhają na człowieka, dostrzegał pułapki cywilizacyjne XX wieku, podkreślał różnice między dramatem pierwszej i drugiej wojny światowej, żył w głównym nurcie dziejowych wydarzeń. I mimo to, a może właśnie dlatego do końca powtarzał, że słowo poety jest znaczące, ratujące i kojące wszelki ból. Dla niego Orfeusz, wędrujący przez piekło, wciąż niósł swoim śpiewem nadzieję i ulgę. W zakończeniu tego słynnego eseju pisarz umieścił przesłanie, które wspomnianą na początku pokorę łączy z budującą przyszłość nadzieją: „Orfeusz pozwala na krótko wyłączyć rozum, tak jak się wyłącza elektryczność, pozwala nam, uwięzionym w przestrzeni, odpocząć w czasie. Chętnie gasimy to wątle, ach, jakże wątle światelko rozumu, które oświeca nasze ciemne dzienne sprawy, wyłączamy zmysł wzroku, zamykamy oczy, podwajając tak wrażliwość uszu. Jest noc, jest cisza, słuchajmy Orfeusza”. Warto,

myślę, wsłuchać się w tę prostą i zarazem głęboką lekcję i warto razem z Wittlinem pójść dzisiaj za Orfeuszem przez piekło naszego XXI wieku.

Wojciech Kaliszewski



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

